

Czas zatrzymamy

Zwykle jest tak – spektakl przez jakiś czas utrzymuje się w repertuarze, po czym umiera śmiercią naturalną. Pozostaje zacieraająca się pamięć. Wznawiając „Braci Karamazow” w Starym Teatrze w Krakowie, z tymi samymi aktorami i w takich samych dekoracjach, Krystian Lupa udowodnił, że można zaprzeczyć ulotności teatru.

Nie byłoby wznowienia „Braci Karamazow”, gdyby nie propozycja szefa paryskiego Festiwalu Jesiennego, by pokazać ich w teatrze Odéon. Lupa wspomina, że początkowo nie wierzył w powodzenie karkołomnego przedsięwzięcia, ale z czasem przeszkody okazały się łatwe do pokonania. Aktorzy – choć nie wszyscy są dziś w zespole Starego Teatru – z entuzjazmem przyjęli pomysł powrotu do dawnych ról. Zbudowano nowe, niemal identyczne jak przed laty, dekoracje.

Sen spełnił się – powiada artysta. Po styczniowych występach w Paryżu spektakl odwiedzi jeszcze Antwerpię i Wiedeń.

Jak za dawnych lat

Tę adaptację powieści Fiodora Dostojewskiego oglądałem po raz pierwszy przed 9 laty podczas Warszawskich Spotkań Teatralnych. Przedstawienie przyjechało do stolicy opromienione sławą arcydzieła. Oczekiwania się sprawdziły. Nikomu nie przeszkadzał ścisł na widowni teatru Studio ani czas trwania spektaklu – bagatela, niemal 8 godzin.

Przedstawienie zeszło z afisza, choć mogło być grane jeszcze długo. Po latach możemy to docenić. W aktorach nie wygasły emocje związane z ich rolami, zapachu nie zastąpiło znudzenie. Także dlatego ten niecodzienny powrót okazał się w ogóle możliwy.

„Braci Karamazow” ogląda się z nie mniejszym niż wówczas wzruszeniem. Dziś na scenie sztuka miesza się z życiem. Podobno wykonawcy bardzo bali się znaków upływającego czasu. Młodzi bohaterowie Dostojewskiego i Lupy nie są dziś tak młodzi, jak przed 9 laty. Katarzyna Iwanowna (Agnieszka Mandat), Gruszeńka (Katarzyna Gniewkowska), Dymitr (Zbigniew Ruciński) czy nawet Alosza (Paweł Miśkiewicz) eksponują dziś jeszcze bardziej tragiczny rys charakterów swych postaci. Przyjmujemy ich młodość, choć na twarzach widać zmarszczki.

W teatrze Krystiana Lupy znamiona czasu przestają mieć jakiegokolwiek zna-



Aktorzy Starego Teatru znów w najlepszej formie – jak za dawnych lat. Od lewej Piotr Skiba, Jan Frycz, Jan Peszek i Paweł Miśkiewicz.

czenie. Światem „Braci Karamazow”, rządzi prawa narzucone przez reżysera. Akceptujemy je bez wahania.

Spektakl pojawia się w szczególnym dla Starego Teatru momencie. Krakowska scena po czasie zapaści powraca do dawnej formy. Próbuje sprostować oczekiwaniom, związanym z niedawną historią – inscenizacjami Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy.

W ostatnich latach jedynie przedstawienia Krystiana Lupy z zachwytem przyjmowali zarówno widzowie, jak i krytyka. Wszystko to spowodowało, że artyści Starego Teatru poczuli się osamotnieni. Dziś, gdy wychodzą do widowni po „Braciach Karamazow” i czują akceptację publiczności, jest jak za dawnych czasów. Między sceną a widownią tworzy się coś na kształt wspólnoty.

Dlatego odnosimy wrażenie, że Krystianowi Lupa udało się na moment zatrzymać teatralny czas. Zmusił aktorów do ogromnego wysiłku i pozwolił na nowo uwierzyć w ich możliwości. Dzięki temu jego przedstawienie zaskakuje świeżością, znów nie czujemy długich godzin na widowni (spektakl jest rozłożony na dwa wieczory).

Potęga chwili

Oglądając „Braci Karamazow”, musimy pamiętać, że to teatr krańcowo różny od modnych dziś szybkich, utrzymanych

w rytmie wideoklipów, historyjek. Tu każda chwila ma swe niezwykle znaczenie. Trzeba nieustającej uwagi, skupienia na słowach i gestach bohaterów.

Poszczególne sekwencje zdumiewają gęstością. Oto rozmowa Iwana (Jan Frycz) z Aloszą. Trwa chyba pół godziny. Iwan je zupe, Alosza przysiadł po drugiej stronie stołu. Mówią półgłosem, wpatrzeni w siebie – jakby publiczność nie istniała. Świadomie wyrzekają się wszelkich efektownych gier, są bez reszty skupieni. A więc z pozoru nie dzieje się nic, tymczasem w istocie na naszych oczach rodzi się wielki teatr.

„Bracia Karamazow” w scenicznej formie nie są w stanie pomieścić wszystkich wątków powieści Dostojewskiego. Brakuje niektórych sekwencji (m.in. rozgrywających się w sądzie po zabójstwie starego Karamazowa), ale Lupa nie redukuje znaczeń literackiego pierwowzoru. Mamy gigantyczny dyskurs o obecności Boga, o odrzuceniu Bożego świata pełnego błędów. Są rozważania o granicach ludzkiej wolności i cenie, jaką płacimy za codzienne wybory.

Mniej istotna staje się parakryminalna warstwa powieści Dostojewskiego – pytanie, kto zabił. W istocie u Dostojewskiego i Lupy liczą się przede wszystkim motywacje czynów, fakt, że każda

z postaci kryje ciemną stronę swej natury. Prędzej czy później przychodzi zwątpienie w dobro. W finałowej scenie rozmowy Iwana z diablem, pojawiającym się pod postacią służącego Smierdiakowa (Piotr Skiba), to właśnie groteskowy szatan zwycięża. Iwan nie może odpędzić od siebie mar własnej świadomości ani uspokoić się wiarą, że to był tylko sen.

„To wszystko wydarzyło się naprawdę” – mówi do siebie przerażony i są to ostatnie słowa spektaklu.

Siła przedstawienia Lupy polega na tym, że te wielkie tematy podejmowane są bez patosu, jak we wspomnianej półprywatnej rozmowie braci przy talerzu zupy.

Aktorów od publiczności oddziela przezroczysta tiulowa zasłona. Siedząc na widowni, czujemy się jak podglądacze. Patrzymy nie na zawodowych artystów, ale na innych ludzi. Niknie zwyczajna granica między aktorem a widzem. Frycz czy Jan Peszek (stary Fiodor Karamazow) zrzucają na naszych oczach maski swych ról. Jeden człowiek staje naprzeciw drugiego. Mówi o swoim bohaterze, ale również o sobie i o nas.

Takie momenty – jakże rzadkie, gdy świat sceniczny staje się całym światem – pozwalają nam przeżyć w teatrze coś na kształt oczyszczenia.

JACEK WAKAR